

# Jak zrobiłem karierę?

Nie zrażać się przeciwnościami

Żyjąc za 26 groszy dziennie i wytrwale pracując

Z krojczego bieliznianego właścicielem dużej fabryki trykotaży, domu i trzech sklepów w Warszawie

Wywiad „ABC” z p. Janem Matuszewskim

Jako piętnastoletni chłopiec uciekłem z domu i wyjechałem do Niemiec. Tam pracowałem jako praktykant w fabryce wyrobów chemicznych przez trzy lata, poczem jako osiemnastoletni młodzieniec wróciłem do Warszawy.

Zacząłem praktykę w zawodzie kupieckim w fabryce krawatów A. Piekarskiego i w firmie bieliznianej Bobrowski — Urbański.

Gdy gaża moja, jako krojczego doszła do sumy

60 rubli miesięcznie — ojciec mój zrezygnował zupełnie z opieki nademną i nakazał mi żyć samodzielnie.

mając 60 rubli w kieszeni wynająłem mały pokój na drugim piętrze przy ulicy Senatorskiej 30

i tam założyłem pracownię. Krajałem płótno, dawałem je do szycia i sam bieliznę sprzedawałem.

Jadałem dwa razy dziennie, przyczem śniadanie kosztowało mnie 10 groszy, obiad (mleko i chleb) 16 groszy.

Cieężko pracowałem i oszczędzałem — trwało to sześć lat.

Drugi okres w mem życiu zaczął się w roku 1907. Liczyłem wówczas lat 27. W tym czasie firma Brochocki i S-ka zaproponowała mi wejście do spółki. Zgodziłem się, wniosłem p. B. 800 rubli

i pracowałem w spółce trzy lata. P. Brochocki po trzech latach, to jest po wygaśnięciu umowy odsprzedał mi swoją połowę. Z tą chwilą stałem się pierwszy raz w życiu właścicielem sklepu.

Interes z miejsca ruszył nadzwyczajnie. Pracownia przy sklepie okazała się niewystarczającą, kupiłem więc nowy lokal na Pradze i tam założyłem małą fabryczkę bielizny. Wytwory sprzedawałem detali-

cznie. Nadmiar produkcji nasuwał mi myśl odsprzedaży hurtowej. Zakontraktowałem kilka, potem kilkanaście innych magazynów na sprzedaż hurtową i tem samem interes rozwijał się coraz więcej.

W roku 1910 przeniosłem fabrykę z Pragi na ulicę Orła, gdzie zaangażowałem już 20 osób. Zyskiwałem coraz szerszą klientelę i to pchnęło mnie do otworzenia drugiego sklepu przy ulicy

Marszałkowskiej 154.

Znowu upłynęło sześć lat pracy, której wynik był tak kolasalny, że już w roku

1917 nabyłem dom na Nowym Świecie pod numerem 40, w którym to domu otworzyłem trzeci sklep.

Powodzenie moje przypisuję

tylko temu, że przez szesnaście lat mojej pracy prawie codziennie obmyślałem nowe plany rozwoju interesu. Jako praktykant w fabryce krawatów zorientowałem się, że tylko wtedy zarobki są duże,

gdy się artykuł samemu wyrabia, a potem sprzedaje się go hurtem, bez pośredników.

Ta myśl była podstawą do otworzenia fabryki. Przez kilkanaście więc lat

towar sam rozwodziłem.

W pracy nigdy nie zrażałem się trudnościami — gdy się spotkałem z odmową kupna mych wyrobów, lub zgółta ze złem obejściem, nic sobie z tego nie robiłem i odważnie po pewnym czasie zagłądałem do danego klienta poraz drugi i trzeci. — Rezultat był zawsze dobry.

Żyć za 150 złotych miesięcznie bardzo ciężko

Spełnić obowiązek społeczny trzeba

## Nędza i głód w szeregach policji

To groźne niebezpieczeństwo dla Państwa

Komendant Główny Policji Państwowej ppłk. Maleszewski, przemówiwszy poraz pierwszy do swych podkomendnych nazwał ich „żołnierzami policji”, których, jak żołnierzy, strzegących granic Rzeczypospolitej, poprowadzić obiecał pod hasłem: „Honor i Ojczyzna”...

Piękne słowa, na które policja nasza od pierwszych chwil swego powstania dostatecznie sobie zasłużyła. Słowa tem piękniejsze, że ppłk. Maleszewski, nie zawahał się powiedzieć, że policjant nasz te same usługi oddaje krajowi, co żołnierz...

I właśnie dlatego i my nie

wahamy się dzisiaj zabrać głos w tej sprawie.

Jesteśmy świadkami bezprzykładnej nędzy wśród szeregów policji polskiej; nędza ta, której tyle lat stawia policja czoło, objęła tak szeregi jej oficerów, jak i szeregowych.

Pan Komendant Główny P. P. odezwał się do policjantów „żołnierze policji”! Nie wątpimy, że, używając tych słów, ppłk. Maleszewski miał na myśli również rozciągnięcie na szeregi policji tych samych uprawnień, ulg, słowem uposażenia — z jakiego korzysta wojsko.

Dalibóg, trudno sobie wyob-

Wojsko żąda matury — Sześć klas to zamało

## Nowe rozporządzenie o cenzusie wojskowym

Specjalizacja poszczególnych gałęzi nowoczesnej wiedzy wojskowej osiągnęła dziś już tak wysoki poziom, że władze wojskowe zmuszone były do wprowadzenia

pełnych uzupełnień w t. zw.

instrukcji wyszkolenia.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie

szeregowych z wykształceniem 6-ciu klas

szkoły średniej, praktyka bowiem wykazała, iż zakres poświadczanych przez nich wiadomości ogólnokształcących jest niewystarczający do przesłuchania

kursu w szkołach podchorążych rezerwy, zwłaszcza

broni specjalnych

jak artylerja, wojska techniczne i lotnictwo.

W związku z takim stanem rzeczy wszyscy szeregowi z cenzusem 6-ciu klas szkoły średniej z reguły — jak się „ABC” dowiaduje —

będą obecnie kierowani tylko do szkół podchorążych rezerwy piechoty, przyczem nie będą oni korzystać z przywileju służby skróconej,

a mianowanie ich podporucznikami rezerwy będzie przewidziane tylko na wypadek wojny. -

## Z TEATRÓW

„ZŁOTY KOGUCIK”, opera w 3 ch aktach

M. Rimskiego-Korsakowa w o perze warszawskiej

Bardzo dobrze się stało, że opera warszawska uzupełniła swój repertuar „Złotym kogucikiem”. Jest to ostatnia (1907 r.) i bezsprzecznie najlepsza opera Rimskiego - Korsakowa.

Za libretto służy piękna bajka liryczna Puszkina o królu,

który zapomniał o swej obietnicy, danej czarownikowi na progu szczęścia. Niewdzięczny monarcha ginie „z ręki” złotego kogucika — swego dobroczyńcy.

Muzyka „Złotego kogucika”, znana nam dobrze z koncertów w Filharmonji, w połączeniu z dekoracjami i kostjumami stanowi całość przepiękną. Tak samo jak i libretto, muzyka jest pomyślana śmiało i stylizowana bez zarzutu. Dziwnie lekko łączy się w tej operze barbarzyństwo środowiska, w którym toczy się akcja, z lineją i niesłychanie bogatą wyobraźnią kompozytora.

Na czoło zespołu wysunął się p. Michałowski, który w roli króla Dodona stworzył postać dobrze pomyślaną, pełną jowialnego humoru. P. Czapska, cokolwiek sztywna w akcie drugim, w trzecim rozśpiewała się i była przedmiotem gorących owacji.

Prowadził operę p. Fitelberg w sposób bardzo kulturalny.

i. k.

## 4 ZŁOTE MEDALE

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

ZORGANIZOWAŁA NA „GWIAZDKĘ” TANIA SPRZEDAŻ

Przyjmuje wszelkie odnowienia

ul. Rymarska № 8, telefon 124-65.

393

ALEKSANDER BŁAŻEJOWSKI.

41)

## TAJEMNICA HOTELU PRZY ULICY CHMIELNEJ

Rozmyślania prokuratora przerwało ostre pukanie do drzwi. Wszedł konwój policyjny, raportując dostawienie z więzienia śledczego Ludwika Karnickiego. Prokurator polecił bezzwłocznie wprowadzić oskarżonego do swego gabinetu. Oskarżony wszedł chwiejnym i niesmiałym krokiem. Nieogolony, w wygniecionem palcie i brudnym kołnierzyku, różnił się wyglądem znacznie od tego młodego, zdolnego literata, któremu publiczność dziękowała huraganem oklasków i długim deszczem kwiatów za talent i pracę.

Prokurator patrzył w twarz młodego człowieka i szczerzy żal i współczucie malowały się w jego oczach. Wskazał oskarżonemu krzesło tuż obok swego biurka. Karnicki zbliżył się niesmiało i usiadł na krawędzi. Zabielski wyciągnął z regału akta, chwilę je wertował, jakby chciał pokryć zmieszanie. Wkrótce opanował się i spokojnym głosem spytał:

— Imię i nazwisko pana?

— Ludwik Karnicki, — szepnął oskarżony tak cicho, że słowa zaledwie dochodziły do uszu pytającego.

— Prokuratura oskarża pana o zbrodnię morderstwa. Popelnit ją pan dnia 10 lipca, roku zeszłego w hotelu Mincerowej, zabijając uderzeniami tępego narzędzia, możliwe młotka, poddanego rosyjskiego Pawła Michałowicza Gałkina. Czy przyznaje się pan do zbrodni?

Karnicki patrzył w oczy prokuratora, jakby nie rozumiał jego słów, tylko palcami wykonywał jakieś bezmyślne ruchy, skubał rękaw palta. Prokurator powtórzył treść oskarżenia. Twarz oskarżonego zaczęła się ożywiać i szepnął tak cicho, że znów ledwie można było go zrozumieć:

— Ja nie zamordowałem Gałkina...

— W takim razie może pan wytłómaczy, co pan robił w jego mieszkaniu na kilka minut przed morderstwem.

— Żadnego Gałkina nie znam, nigdy nie byłem w jego mieszkaniu.

— Panie Karnicki, — upomniął prokurator — jako obwinionemu o zbrodnię wolno panu nawet kłamać, ale nie sędzę, aby takie kłamstwo wpłynęło dodatnio na przebieg śledztwa i na pańską sytuację. Jeśli w obronie swojej musi się pan uciekać do kłamstwa, to niech pan przynajmniej nie podreczy faktom, które każdej chwili mogą być udowodnione. A teraz powtarzam pytanie: — Czy był pan w mieszkaniu Gałkina na kilka minut przed ujawnieniem zbrodni?

— Byłem.

— A teraz może zechce mi pan wytłómaczyć, co pan tam robił?

— Gałkin prosił mnie poprzedniego dnia, bym go odwiedził, był chory. Przyszedłem o oznaczonej godzinie, zdaje się o jedenastej przed południem i kilkakrotnie zapukałem do drzwi, gdy nikt nie odpowiedział, nacisnąłem klamkę i wszedłem do pokoju. Zawarłem z przyrażenia... Zobaczyłem coś, co mi zmroziło krew w żyłach. Na środku pokoju leżał potworny garbus, złany obficie krwią. Szklannemi oczyma patrzył na mnie, od czasu do czasu przymykał i otwierał powieki i jakby natężał wzrok, aby lepiej mi się przypatrzeć. Cośnałem się w tył z przerażeniem, uderzyłem plecami w zamknięte drzwi. Zostałem z nim

sam na sam w pokoju. Nagle garbus podwinął nogę pod siebie, a potem szybko ją wyprężył i w ten sposób zbliżył się do mnie, jakby chciał mnie objąć za nogi. Chciałem krzyknąć, ale strach odbierał mi oddech. Gdy odzyskałem świadomość, otworzyłem drzwi i wybiegłem jak oszalały ze strachu na ulicę...

— Dlaczego nie uwiadomił pan policji o swoim odkryciu?

— W pierwszej chwili byłem tak przerażony, że niebardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co czynię, biegłem bezmyślnie wzdłuż ulic, aż ocknąłem się na Starem Mieście. Gdy wróciła mi przytomność i uświadomiłem sobie każdy szczegół strasznej sceny, doszedłem do przekonania, że w chwili, gdy przekroczyłem próg pokoju, Gałkin już nie żył, a ruch jaki wykonał był tylko skurczem pośmiertnym. Z pewnością upłynęła godzina, zanim zdołałem w siebie wyrzucić spokojny sąd o wypadku. Gdy wybiegłem z pokoju spostrzegłem, że do mieszkania zamordowanego zmierza jakiś robotnik, czy stróż, byłem więc przekonany, że on zobaczył już zbrodnię i uwiadomił policję. Hotel Mincerowej nie cieszył się zbyt dobrą opinią, bałem się przyznać do swej bytności w tym lokalu, cel bowiem mego przybycia mógł być fatalnie tłómaczony. Gdybym zaś był pierwszym, który odkrył zbrodnię, wnieścącoby niewątpliwie moje nazwisko do sprawy, a tego chciałem uniknąć...

— Zrozumiem pan jednak, że takie milczenie po wypadku jest poważnym argumentem oskarżenia.

Karnicki nie odpowiadał, opuścił głowę na pierś, jakby przyznawał niedorzeczność swego postępowania.

— A może zechce mi pan opowiedzieć, co łączyło pana z Gałkinem?

(D. c. n.)